

268

Teatr Mrożka

Uprawiał Sławomir Mrożek prozę; prowadził różne po czasopismach rubryki — „Postępowca” w „Życiu Literackim”, „Przez okulary” w „Przekroju”; działał nawet jako rysownik, czego rezultatem sławna jego „Polska w obrazach”. Był również recenzentem teatralnym „Echa Krakowa”, zanim niżej podpisany nie otworzył sobie po nim własnego działu satyrycznego. Czegokolwiek iknął, nie pozostało nie zauważone. Podzielał mniemanie surrealistów, iż humor jest wszędzie — humor jest rozpylony w atmosferze. Trzeba go tylko stężyć i destylować. Taki już kraj... Pewien radziecki krytyk teatralny, który odwiedził Polskę, w swych wrażeniach z podróży, ogłoszonych w „Przeglądzie Kulturalnym” wyznał nie bez aprobaty, że pierwsze, co rzuca się w oczy przybysza — przybysza, dodajmy od siebie, z ojczyzny Gogola i Szchedrina, Leskowa i Zsuzczeki — to fakt, iż w Polsce dużo się ludzie śmieją... Istotnie, humor jest u nas czymś nader powszechnym;

nieomal wyrazem narodowej postawy. Nową towarzyszącą, kompensującą w sferze ducha niedomogi rzeczywistości. Wieszców złuzowali humorysty.

Tak, Mrożek jest wieszczem. I jak na wieszca przystało, musi być wszechstronny. Swą twórczość rychło poszerzył o nowy dział. Po „Policjantach” i „Meczeństwie Piotra Oheya” wystawia już trzecią sztukę; dwie następne przyniosły ostatecznie numery „Dialogu”. Tak więc autor „Słońca” na dobre zadomowił się w dramacie, i opatrzył go własną pieczęcią firmową. Istnieje już coś, co można by nazwać teatrem Sławomira Mrożka.

Jest to teatr farsy. Ale farsy nowego typu, najzupełniej współczesnej. Farsa dawna — której sokami żywią się do dziś nasi scenoskrzybowie rozrywkowi — była spotęgowana do niedorzecznych konsekwencji, uproszczoną i automatyzowaną komedią charakterów lub sytuacji. Śmiało się z zabawnych pań i panów oraz z zabawnych zbiegów o-

koliczności. Inaczej u Mrożka. Farsa jego — podobnie zresztą jak Witkacego i Ionesco — jest farsą idei. Śmiejemy się z przygód, jakie przeżyją pojęcia o świecie, zakrepię w przestarzałych lub nietrafnych stereotypach. Te sprowadza Mrożek do absurdu przez ukazanie ich dosłownych, praktycznych wcieleń. W „Indyku” stawia nas autor wobec świata, tkniętego tak popularnym dzisiaj „kryzysem wartości”. Komuną o „kryzysie wartości” próbuje rozumieć najzupełniej dosłownie i totalnie. Ukazuje osobliwą karczmę, w której nikomu nic nie chce się robić; co więcej, w której zasada, by nic się robić nie chciało, staje się sprawą ambicji i honoru; Nagromadzenie nonsensów wychodzi z tego straszliwe. Nadmiar logiki prowadzi do niedorzeczności.

Wszczętadnie — zdaje się sugerować Mrożek — są rządy frazesu i banału. Nad wszystkim ciąży myślowe skamieliny. Przez co wszyscy bohaterowie farsy stają się równocześnie własną parodią. Dekadenci są parodią dekadenc-

tów, kochankowie parodią kochanków, chłopi parodią chłopów, żołnierze parodią żołnierza... Przedmiot humoru przesuwają się jak gdyby o piętro wyżej. Śmiejemy się nie tyle z postaci, ile z wyobrażeń o postaciach; nie tyle z wydarzeń, ile z wyobrażeń o wydarzeniach. „Niemożność” jest tu niejako podwójna. Z zaklętych rewirów owej karczmy nie mogą wysuwać się bohaterowie — i w finale słuchają urzeczeń, ile z wyobrażeń z mącą wirtuoza rzepoli na skrzypcach, niby nowy Chochół... Lecz równocześnie nie może tu nieuświadczony autor — i widzowie. Gdyż wszystko utonęło w morzu schematów. Zawszad widziera jałowość bytu nieautentycznego. Nieautentyczni są dekadenci — i nieautentyczni budujący „Kryzys wartości”? Nie. Albo raczej więcej: kryzys kryzysu. Racje nie mieszczą się ani w pozytywności, ani w negacji. Obydwie równie nie przystają do tego, co jest poza nimi. „Indyk” jest tęsknotą do au-

Teatr Mroźka

(Dokończenie ze str. 3)

tentyczności, która siebie samą pożera. Jak każda parodia, ośmieszając stare, równa grunt pod nową formułą rzeczywistości. Sama jednak do niej nie dociera. Przeczuwa ją — i zatrzymuje się o krok. Lecz jako ocalenie od nieprawdy proponuje śmiech. To chyba niemało?

Teatr Mroźka... Znaczy to również, iż mamy do czynienia z przedsięwzięciem rzadkim w naszej dramaturgii rodzimej i pod tym względem, że żadnej taryfu ulgowej nie wymaga. Ani, że autor młody, początkujący, ani, że dramaturgia współczesna musi cieszyć się szczególnymi względami krytyki. Stowem, „Indyk” nie jest pozbawiony wad. W budowie ciągle grozi mu skeczowość — i jest właściwie serią humorystycznych atrakcji, nie zaś ciągłością dramaturgiczną. Także wśród tych atrakcji niektóre — zwłaszcza dialogi miłosne — są nieco przydługawe, jako że parodia grozi zawsze nieumiarkowaną eksploatacją jednego pomysłu... W sumie jednak sztuka broni się przed własnymi słabościami i żyje życiem pełnym, nie mającym w sobie nic z bledziny ciepłarnianego kwiatu.

Przedstawienie owszem, również żywe. Jest w nim kilka rzeczy pierwszorzędnej marki. Czymś arcywybornym jest Chór Chłopów z ogródkami na kapeluszach, w kosmicznym swym lenistwie tańczący na siedząco, samymi nogami — i po wymianie głupawych zdań znów zapadający w drzemkę przy kuflach z piwem. Przechabawne jest opowiadanie o dramatycznej ucieczce pary romantycznych kochanków, zamienione na operę w stylu moniuszkowskim — przy czym wykonawcy (J. Hanisz i W. Ziętarski) nie tylko śmieją, ale i prawdziwie ładnie śpiewają. Miło

mi również, że ulubione chwytły Jerzego Grotowskiego, reżysera Teatru 13 Rzędów, w którym mam etat, znajdują zastosowanie i na scenach bardziej dostojnych. Podobał mi się Kapitan J. Jabczyński — rola ta, najlepsza w tekście, znalazła godnego wykonawcę w aktorze, który — mimo warunków amantowskich — nie wstydził się zaprezentować na scenie wspaniały okaz dobrodusznej, ocieźiałej debilowości. W parodystyczny ton mroźkowy najlepiej utrafił L. Herdegen jako poeta. Grat — jak się to mówi — lekko i inteligentnie.

Z parodią w przedstawieniu było jednak nie najlepiej. Tu i ówdzie wyskakiwały elementy farsy zwyczajnej, obyczajowo-psychologicznej. I zamiast parodii banału otrzymaliśmy banal rzeczywistości, przyjęty za dobrą monetę. Np. zamiast drwiny z szablonów kłótni pomiędzy kochankami dano nam satyrę na niezgodę małżeńską — bardzo w stylu Grodzieńskiej. Tak samo fałszem artystycznym pobrzmiwała krwawa satyra na Księcia. Nie te czasy! Dziś raczej humor i szopka przystoi przedmiotowi, który zatracił swą dawną grozę. Niepotrzebnie drwiący humorek autora opatrzył reżyser w jadowite, satyryczne żądla. Figlarnego elfa tu trzeba, nie syczącej żmii. I w całym przedstawieniu więcej by się zdało elfowości.

Scenografia Skarżyńskich pomysłana według wzorów malarstwa surrealistycznego. Pospępny szary horyzont, rzędy stolików, część stolików malowana na horyzoncie, jeden, służący za teren akcji, monstrualnie wyolbrzymiony. Kostiumom natomiast brak jednolitej koncepcji plastycznej.

LUDWIK FLASZEN

Teatr Stary, Sławomir Mrozek: Indyk. Reż. L. Słomczyńska. Scenogr. L. Mintiez i J. Skarżyński. Muz. L. M. Kaszycki.